ZEW

15 czerwca
1933 r.

Państw. Gimn. IV im. H. Sienkiewicza w Krakowie

ROK I. ZEW NR. 3.

Czasopismo Młodzieży Państw. Gimnazjum IV. im. Henryka Sienkiewicza

Kraków, dnia 15 czerwca 1933.

Henrykowi Sienkiewiczowi!

Dzień to był szary gdyś się budził,
Niewoli szary, mroczny dzień,
Gdy rozpacz przymuszała ludzi,
By się wyrzekli dawnych śnień,
By przeklinali przeszłość własną
I kładli na nią jarzmo win,
Ale Ty duszą swoją jasną
Czułeś, że innym ma być czyn.
Tyś widział w wizjach swoich wielkich,
Tych, co na śmierć jak w tany szli
I dla ojczyzny, rodzicielki
Miecze nurzali w wroga krwi,
Tyś wiedział, że nie przyjdzie cudem
Ten dzień o którym ludzie śnią,
Że państwo się buduje trudem,
Lecz wolność się zdobywa krwią.
I przed narodem, co grobowe
Już wieńce plótł z minionych snów
Wskrzesiłeś mit o Częstochowie
I ów zbarazki sławny huf.
Wskrzesiłeś w chwały aureoli
Skrzydlatych hufców krwawy trud
I narodowi, co w niewoli
Tułaczy żywot nędznie wiódł,
Wskazałeś wzory, których szlakiem
Płomień wyzwolin wniecić miał
I pod białego orła znakiem

Poskromić dumny wrogów szał.
A potem grały z wieżyc dzwony,
Płynęły z oczu rzewne łzy,
Kiedyś w ojczyste wracał strony,
By na ziszczone patrzeć sny,
A dziś! posępny mrok świątnicy,
Powiędłe wieńce z białych róż
I tylko czasem gwar stolicy
Przyniesie krzyk młodzieńczych dusz,
Bo w nas się jeszcze wizja pali,
Którąś ty w słowa zaklął czar
I idzie do nas gdzieś z oddali:
Książe Jeremi — Zbaraż — Bar.
Więc cześć ci mistrzu za te słowa,
Krzepiące naród w nieszczęść czas,
Ciebie już kryje czerń grobowa,
Lecz duch Twój żyje pośród nas.

Ziemba Jan

H. Sienkiewicz a Legjony Polskie.

Leguny, gdy ostrzem bagnetu usuwali już wroga — ciemiężcę, — gdy zabłysła im „Jutrzenka Wolności“ — pamiętali komu zawdzięczają swój hart i siłę. — Oto co pisze z okazji 70-tej rocznicy urodzin Henryka Sienkiewicza, Michał Sokolnicki sekretarz gen. N. K. N. w „Wiadomościach Polskich“ (Nr. 75 z dnia 7. V. 1916 r.) w artykule zatytułowanym: „Autorowi Trylogji w hołdzie”.

„Z chłopięcych lat każdy z mego pokolenia przechował w pamięci jak skarb to wspomnienie. Długie nocne godziny, tajone przed starszymi światło i ukochana w rękach książka. Jeszcze dawniej, jakieś znajdywane ukradkiem w domu wycinki „Słowa” i tę litery, które wżerały się w mózg dziecięcy wczesnem przerażeniem i niezmierną nadzieją — „Ogniem i Mieczem“.

— My cośmy czytać i słuchać się uczyli na księgach Mickiewicza, my, dla których poezja rycerska dawnych Polaków stawała się czemś bezgranicznie oddalonem, zamkniętem w kole kiedyś przez ludzi przeżytych wrażeń, zapomnianem w codziennem, twardem, suchem życiu, my, którzyśmy dawnych słów naokoło siebie słyszeli tak niewiele, myśmy znaleźli, że przecie jest głos w teraźniejszości Polaków, który nie brzęka kajdanami, poznaliśmy, że jest jeszcze w słowie Polaków

dawna chwała wielkich ludzi, nauczyliśmy się wierzyć, że jeszcze możnością realną jest siła narodu”.

— Dlatego książka Sienkiewicza wędrowała po drogach krwi i znoju, w tornistrze szarego żołnierzyka budzącej się Polski.

— W pisane słowa zaklęty czyn, jak jakiś eliksyr wlewał otuchę i nowe siły, — zabijał niezadowolenie i rozpacz.

— Niedawno zmarły ks. biskup Władysław Bandurski, będący kapelanem Legjonów Piłsudskiego, — nazywając „Wielkim Mistrzem słowa” wysłał do Sienkiewicza list (15. VI. 1916) w którym pisze o jego powieściach (słowa te może najlepiej odzwierciedlają stosunek i znaczenie powieści Sienkiewicza i jego samego do Legjonów):

— „Czytane są tak żarliwie, z taką ochotą i z taką radością, jakby były najżywszym napojem, od którego siła duszy zależy. Dla tych, co po szpitalach skazani na bezczynność, stwarzasz najpożądańszy świat, którym rozkoszuje się stęskniona za domem, za Ojczyzną dusza, wyobraźnia przechodzi orzeźwiającą kąpiel siły i rozmachu, zakazuje zwątpienia, przeczy beznadziejnemu smutkowi i uczy wierzyć w niespożytą moc narodu.

W okopach naszego narodowego wojska, w szeregach zmartwychwstałych Legjonów Polskich, wrażenie całkiem jest inne, a jakże dobroczynne! Wiadomo Ci zapewne, że czytają Cię tam z zapałem i nienasyconem zajęciem. Młodym duszom, wierzącym w potęgą polskiego męstwa i zmartwychwstanie polskiej siły zbrojnej, potężny dech historji, wiejący z kart Twoich ksiąg, był ożywczem tchnieniem, którego potrzebowali w strupieszałej atmosferze Europy, kiedy — zdało się młodym naszym, że nikt o nich się nie upomni, li chyba ich własny rycerski czyn”. I stało się...

Zygmunt Walenta.



 

Miałem wtedy lat jedenaście — byłem w pierwszej klasie gimnazjalnej. Byłem uczniem gimnazjum im. H. Sienkiewicza. Słyszałem o Sienkiewiczu dużo — w domu mówiono o nim, w szkole — ale mimoto nie miałem ochoty zabrać się do przeczytania sławnej jego książki „Ogniem i Mieczem”, do czego wciąż mnie zachęcano.

„Fe, wstyd — mówił ojciec — żeby chłopak w pierwszej gimnazjalnej nie znał „Ogniem i Mieczem”... Ja, będąc w twoim wieku, pożerałem poprostu tę powieść, drukowaną podówczas we fejletonach „Czasu”... Żyłem życiem bohaterów tej książki. Z niecierpliwością oczekiwałem następego dnia, by znów czytać i czytać... Ty jesteś w innych warunkach. Masz w domu całość pism Sienkiewicza, pięknie oprawioną, jesteś uczniem gimnazjalnym imienia Sienkiewicza — a nie chcesz czytać jego ślicznych książek. Widać, że jesteś jeszcze dzieckiem...

Bolało mnie to bardzo, gdy nazywano mnie dzieckiem — ale zaciąłem się i powiedziałem sobie, że nie będą czytał nigdy w życiu.

Stała więc w szeregu innych książek, pyszniąca się swym barwnym grzbietem, a kurz opadał wciąż na jej karty i przysłaniał je mgłą zapomnienia.

Powiadają, że na upór niema le-

karstwa. Powtarzano mi to codziennie — jednakże teraz — z odległości kilku lat, widzę, że jednak jest lekarstwo upór leczące.

Co?

Bardzo prosta rzecz.

Stopniowe nabieranie mądrości.

Człowiek nigdy nie jest uparty. Upór to tylko cecha głupiego.

Otóż przeszedłem do klasy drugiej. Z pogardą patrzałem na „malców” z pierwszej i pieściłem wzrokiem dwie srebrne niteczki na czapce.

I oto okazało się w rozmowie z kolegą, że zna on „Ogniem i Mieczem” ...

Zapłonąłem oburzeniem.

Jakto? On zna, a ja nie?

I staliśmy się wrogami. Na śmierć i życie. Zwłaszcza, że on pożyczył odemnie i nie oddał.

„Ducha puszczy” Anczyca.

Nadeszła zima. Dnie stawały się coraz krótsze i chłodniejsze. Drzena plantach wyciągały do ołowianego nieba swoje czarne i nagie ramiona.

A pewnej nocy przyszedł szron...

Świat zamienił się w pałac czarodziejski.

Planty stały białe, milczące. Druty telefoniczne uginały się pod naporem białego szronu.

W tym dniu, napalono w piecu więcej, niż zwykle.

Na drugi dzień rozbolało mnie gardło. Nie poszedłem do szkoły.

Łóżko, nuda, lekarstwo, popielate dnie i czarne noce, znaczone znienawidzonym słupkiem rtęci w termometrze.

Jak zwykle.

Choroba.

A wtedy przy łóżku usiadła matka i głosem miękkim, łagodnym, poczęła czytać jakąś piękną książkę.

Zaczynała się ona tak:

„Rok 1647 był to rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia”.

I płynęła ta opowieść cudowna, wartko a tak pięknie, jak potok wezbrany na wiosnę...

Oponowała mą dusze i wzięła do niewoli.

Leżąc na poduszce, z oczami przymkniętemi, widziałem to wszystko... Pana Longinusa, dzikiego Bohuna, kochanego pana Zagłobę, Skrzetuskiego... wielu, wielu innych.

Słyszałem dziki wrzask bijących ze Siczy... salwy muszkieterów niemieckich, tętent husarji, dźwięk dzwonów bijących na larum, huk dział z Kudaku.

A potem sam porwałem tę książkę z rąk matki i doczytałem do końca.

Po wyzdrowieniu poszedłem do szkoły i każdą rozmowę zaczynałem słowami: Czytałeś „Ogniem i Mieczem“?

Zwyciężyła mnie. Byłem jej niewolnikiem.

Stanisław Pagaczewski.

Henryk Sienkiewicz a młodzież

H. Sienkiewicz był nietylko wielkim malarzem przeszłości historycznej, nietylko genjalnym odtwórcą Neronowych czasów. Na bogatej polecie jego talentu żywemi barwami odznaczają się miejsca, poświęcone specjalnie duszy dziecięcej, lub odtwarzaniu niedoli młodzieży. W swej pięknej noweli „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela”, Sienkiewicza przedstawia nieszczęsne stosunki, zrodzone w obcej szkole, do której zmuszona była uczęszczać polska młodzież. My, pokolenie wychowane w innych warunkach, może nie zdołamy wczuć się całą głę-

bią w ten fakt panowania nienawistnego języka w szkole, nie zrozumiemy tych nieszczęść polskiej młodzieży, która cierpiała z powodu tego akcentu niemieckiego, czy rosyjskiego. Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela wieje ten cały ogrom polskiej tragedji, którą potem w bardziej szczegółowym obrazie przedstawił Żeromski w „Syzyfowych pracach”.

Dzisiejsi nasi nauczyciele, związani z nami wspólną ideą, częściowo należeli jeszcze do tego pokolenia, które musiało maltretować duszę swoją, ucząc w obcym języku. I śmiem powiedzieć, że jedną z przyczyn wysokiego stanu szkolnictwa polskiego jest ta martyrologja, przeżywana ongiś przez naszych przewodników.

Ten dramat umiał doskonale przedstawić Sienkiewicz, gdyż sam kończył rosyjskie gimnazjum. Współczujemy, bolejemy z małym Michasiem, rozpaczamy z jego matką i nienawidzimy tych oprawców duchowych, którzy już nie będą mogli dukuczać Michasiowi.

Sienkiewicz, subtelny analityk duszy ludzkiej, jakże umiał przedstawić serce i uczucie małej Litki w „Rodzinie Polanieckich”. Różne były sylwetki dziecięce w literaturze polskiej. Do najpiękniejszych może obrazów w tej dziedzinie należą dwie postacie dziewczątek: Anielka Prusa i Litka Sienkiewicza. Litka, typ bardziej przeczulony, ale odznaczający się głębią uczucia, Anielka dziecko prawdziwe, mająca troski dziecinne, a jednak tak poważne. Te dwie dziewczynki uzupełniają się wzajemnie. Sienkiewicz umiał zrozumieć przejawy dziecięcej duszy, duszy tak niezepsutej, duszy tkliwej, wrażliwej na cierpienia. Opis śmierci Litki, tej strasznej tragedji ginącego młodego życia, stanowi jedną z najpiękniejszych kart „Rodziny Połanieckich“.

W tym przglądzie najważniejszych utworów, w których Sienkiewicz analizuje duszę młodzieży, widzimy, jak głęboko umiał wczuć się w nią i zrozumieć najdrobniejsze jej przejawy. On kochał młodzież, kochał jej uśmiechy, jej łzy i radości, wierzył w nią. — Przeczuwał, że z kadr tych dzieci wyrośnie kiedyś pokolenie dzielne, pokolenie tytanów. które zdolne będzie zrzucić jarzmo ciemiężcy.

Małym bohaterem jest przecież ten Michaś, który wytęża wszystkie swe siły, pracuje nad miarę, aby tylko nie martwić chorej matki złym stopniem na świadectwie. Nie wytrzymał wysiłku, ale bardziej odporne dziecięce typy przeszły te stopnie Golgoty, stężały w męce serdecznej i umiały porwać się do bohaterskiego czynu. W tornistrach legjonowych, młode chłopaki jak skarb bezcenny nosiły tomiki nowel i dzieła Sienkiewicza. Legjoniści w okopach rozczytywali się w Trylogji, zachwycali bohaterskiemi czynami Skrzetuskiego, a równocześnie ich rycerskie serca płakały nad bólami Litki i niedolą małego Michasia. I to nie legenda, ale fakt prawdziwy. A Autor tych dzieł zawsze był duchem z nimi. Dopytywał się o ich losy i słał pozdrowienia. Zostanie on dla nas młodzieży, umiłowaną postacią w literaturze polskiej, gdyż młodzieńcze porywy rozumiał i wierzył, że one krzepią społeczeństwo.

Niedarmo nasze gimnazjum nosi nazwę Jego imienia, bo On rozumiał, że szkoła to potęga, to ten gigantyczny rzeźbiarz, który wykuwa z surowej bryły postacie o sercu promiennem i dzielnej duszy.

Starachowicz Z. VII a.

Ad navem!

Tłumacz. z Horacego

O barko! Znów Cie na morze uniosła
Burza, zdradliwych wód pani,
Ster już strzaskany, połamane wiosła
Wróć do przystani!

Wiatr zerwał żagle, targają się liny
I trzeszczą łamane reje
Znać nie uniknie już statek głębiny
Gdy maszt się chwieje.

Żagle i bogów porwała wichura
Więc przed kim człek się użali
Gdy sławna niegdyś pontyckich puszcz córa
Igraszką fali.

Na nic się rodem lub imieniem chlubić
Gdy żeglarz nie ufa łodzi
Strzeż się, bo wicher czyha by cię zgubić
W srogiej powodzi.

A może szczęściem chwile te powrócą
Co niegdyś klątwą się zdały
Uciekaj nim Cię groźne fale rzucą
Na Cyklad skały.

J. Z.



Monotonnie dudnią koła pulmanowskich wozów, pędzące w ciemną noc, po stalowym torze. Jak błyskawica migają za oknem wagonów czerwone i zielone światła semaforów, których stalowe członki zdają się wskazywać drogę potężnemu expresowi. Jasne ślepia lokomotywy rzucają refleks na błyszczące szyny; zaturkotały koła na zwrotnicy, zgrzytnęły hamulce i pociąg wpada na małą stacyjkę, niemal całą zasypaną śniegiem. Nie zatrzymuje się; w jednej chwili pozostaje wtyle budynek stacyjny, skąpo oświetlony lampami naftowemi; pociąg mknie jeszcze wzdłuż szeregu ciemnych pustych wagonów, aż wydostaje się na wolną przetrzeń i znowu głucho dudni pieśń kół w ciemną noc.

W jednym z przedziałów siedzi liczne towarzystwo, a właśnie nawiązana rozmowa schodzi na temat sportu. Prym wodzi przystojny blondyn, którego interesujące uwagi żywo zajmują współpasażerów. Jeden wyjmuje gazetę i pokazuje całemu towarzystwu sprawozdanie z ostatnich zawodów narciarskich w Szwajcarji, o mistrzostwo Europy... sensacyjne zwycięstwo Pola-

ka... nasz reprezentant Andzej Kertin mistrzem Europy... Kertin wylosowuje jeden ze środkowych numerów i odrazu rusza ostrem tempem, mijając pokolei różnych zawodników, aż dochodzi do czołowej grupy, w której prowadzi Norweg Larsen... Kertin depta Norwegowi po piętach i tak zbliżają się do mety. Na ostatnich kilkuset metrach rozgrywa się walka między Polakiem i Norwegiem, z której pierwrzy wychodzi zwycięsko, uzyskując czas lepszy o 36 sekund od czasu następnego zawodnika... burzą oklasków powitała zebrana na mecie publiczność zwycięstwo naszego rodaka, którego wspaniały styl i wytrzymałość rokują jak najlepsze nadzie na przyszłość...

Monotonnie dudnią koła i w takt kołysze się wagon. Siedzący w rogu przedziału niepozorny młody człowiek, wogóle nie biorący udziału w rozmowie ożywił się i zwracając się do towarzystwa zapytał, czy ktoś nie zna przypadkiem owego Kertina. Wszyscy zaprzeczają, oprócz przystojnego blondyna, który z obojętną miną mówi, że obecny mistrz Europy jest jego bratem. W przedziale poruszenie — padają wykrzykniki: jak to dobrze mieć sławnego brata... proszę coś o nim powiedzieć...!!! i t. p. W oczach niepozornego młodego człowieka zabłysły wesołe iskierki. „Mój brat jest młodszy odemnie — zaczął przystojny blondyn — i jesteśmy do siebie bardzo podobni. Ja uczyłem go jeździć na nartach i w dużej mierze ma mnie do zawdzięczenia to, do czego teraz doszedł. Nie widziałem się z nim od dwuch tygodni, ponieważ wyjechał bez pożegnania, a jak spotkamy się, nie omieszkam dać naszem mistrzowi paru braterskich napomnień, (zawsze byłem silniejszy)” — zakończył z uśmiechem przystojny blondyn

Minęły za oknem semafory i pociąg wpadł na stację; zgrzytnęły hamulce — stanął.

Jest!!! rozległ sią czyjś krzyk w korytarzu — niech żyje Kertin!!! Niech żyje!!! ryczy brać narciarska na peronie. „Co to ma znaczyć?“ ledwo wyksztusił przystojny blondyn. Do przedziału wpada kilku narciarzy, porywają niepozornego człowieka i na ramionach wynoszą go. Ten ostatni zdołał jeszcze powiedzieć. „Państwo pozwolą, że się przedstawię: Andrzej Kertin jestem“. Przystojny blondyn opadł bezwładnie na ławkę.

„Kag“

Sen

Człowiek myśli! Nic nowego, powie czytelnik. Toć każdy o tem wie doskonale. Oczywiście! Ale ciekawem jest, w jaki sposób myśli się kształtują, ciekawem jest, że człowiek myśląc, nie zdaje sobie często sprawy z faktu myślenia.

Ot np. idzie się ulicą, obserwuje się, wzrok przelatuje z jednego przedmiotu na drugi, z gołębia dziobającego ziarno rozsypane po asfalcie ręką naszych swojskich krakowskich „Franciszków z Assyżu”, ną smętną szkapę dorożkarską, z człowieka na człowieka; spostrzeżenia te wywołują w naszej jaźni jakieś refleksje, by chwilę potem zapaść w mroki zapomnienia czy podświadomości. Czasem przeciwnie, zauważony motyw narzuca się przy każdej sposobności kłóci myśli tak, że powstaje w mózgu nieskoordynowany, nieusegregowany kłąb refleksyj, które nie dają człowiekowi spo-

koju. Nasunie się pytanie, co człowiek chce od tego motywu, albo co on od człowieka chce. Podobnie było ze mną. Ile razy wychodzę, wzrok mój pada na pomnik Grunwaldzki, a raczej na jeden z jego motywów, a to oracza skierowanego ku kościołowi Florjana. Tkwiło w nim coś, co na mnie wywierało kolosalne wrazenie. Te rysy ostre i twarde zarazem, dolna szczęka energicznie wysunięta ku przodowi odkryta pierś, pod którą znaczą się potężne żebra, konary rąk opartych na lemieszu i mocarne nogi szeroko a silnie wparte w ziemię; cała postać lekko pochylona ku przodowi, ma coś niepospolitego w sobie. Ile razy przechodziłem koło niego, choć chciałem, nie mogłem od niego oderwać oczu. Wkońcu zmęczył mnie. Nie wiedziałem, czy go nienawidzę, czy też mam dla niego jakiś rodzaj pogańskiego kultu.

Wybawił mnie sen.

— — — — — — — —

Była wiosna! Słoneczny poranek. Na drzewie rosnącem przed oknem mego pokoju, młode słońce przez pryzmat kropelek rosy igrało tysiącem promieni. Jakaś radość wstąpiła we mnie umotywowana chyba tem wiosennem słońcem i nieopanowana chęć wyjścia na powietrze, na planty, by przypatrzyć się, czy może drzewa już puszczają pąki, przysłuchać się świergotaniu ptaków. Historja nieciekawa, a trochę ckliwa, właściwa i młodym i starym.

Wyszedłem.

Jak zwykle, przechodząc obok pomnika spojrzałem przedewszystkiem na oracza. Słońce padało na niego w ten sposób, że jego siła przybrała na ekspresji. Chwilę stałem, patrząc na niego i dumałem nad sobą i nad nim.

Co nas łączy? Co mnie każe nie odrywać od niego oczu.

Wreszcie mój niepokój ostatnich dni, buchnął falą szyderstw.

Oraczu — kolosie! Dumnyś ze swojej siły i swego wzrostu? Stoisz niepomszczony na swem stanowisku, nie wzrusza cię deszcz, ani wichura, ani palące promienie słońca. Zdecydowanie i wola przebija się w twym wzroku?

Przesz swym pługiem zagony?

Ale zagony powietrza, wola twoja twardą, nieporuszony jesteś i wytrwały, boś z kamienia, boś martwym słupem kamiennym, ociosanym ręką człowieka!

Nie zaimponujesz mi!

Gdybyś był człowiekiem żywym, byłbyś marnym i słabym jak ja, jak my wszyscy.

Jesteś, jesteś. . . .

Wtem potok mych szyderstw został przerwany. Oracz się odezwał:

„Stój młodzieńcze! Kim jesteś, że śmiesz w ten sposób do mnie przemawiać?

Mowa twoja jest obelżywa i bacz, że sama młodość mogłaby cię nie usprawiedliwić.

Czyż urok twój, mózg, serce twoje nie mówią ci, kim jestem? Czyż nie wiesz, że jestem symbolem wiecznie żywej polskości, przeszłych, teraźniejszych i przyszłych pokoleń?

Gdy my Słowianie polscy osiedliliśmy się tu nad Wisłą, Odrą i Wartą, ja wykarczowałem puszcze i zaorałem ziemię na urodzajne pola.

Ja, gdy zaborczy Germanowie szli na te ziemie, broniłem jej. Po tatarskich zniszczeniach odbudowałem i zaorałem odnowa.

Gdy buta krzyżacka osiągnęła swój szczyt, starłem ją w proch i szedłem dalej naprzód, orząc ugory ziemi i ugory dusz własnych.

Po kataklizmie końca XVIII w. nie upadłem. Wola moja skrzepła w nieszczęściu i lemiesz mój znowu zaorywał na urodzajne łany, nowe kamieniste i surowe ugory. Posze-

dłem do pałaców i do chat. I tu i tam przeorałem dotychczasowe poglądy, przesądy i zasady na nowe lepsze i szlachetniejsze.

Byłem i w miastach i po wsiach, a wszędzie mój lemiesz tworzył glebę gotową pod siew. Był nauczycielem, lekarzem, pocieszycielem, i zwiastunem lepszych dni. I dziś, gdy te dni nastały, orzę, rozdzielam i rozbijam na cząstki, by było wszędzie i wszystkim jeszcze lepiej.

Ja jestem Polakiem i Obywatelem, a pług mój to Obowiązek”.

Tu przerwał na chwilę i spojrzał na mnie z miłością. I znowu się po chwili odezwał: „I tyś mój brat, lecz jesteś młody, a ja mam wieki za sobą”-

— — — — — — — — —

W tej chwili się zbudziłem i gdy przypomniałem sobie mój sen, zrozumiałem, dlaczego tak dziwny fluid płynie na mnie z tego posągu. Żałowałem tylko, że sen nie trwał chwilę dłużej, bym mógł powiedzieć Oraczowi „Cześć Ci”. *R. F.*

Listonosz

— Panie Władysławie!... wołała panna Lena. „Tu jest coś dla pana. Jakiś list z Ameryki... nie wiem do kogo, gdyż adres jest bardzo ogólny”.

— Już idę, zaraz... odezwało się z drugiego pokoju.

Pan Kazimierz, listonosz, podniósł głowę z nad stosu listów i gazet. Pan Władysław Wróblewski, kierownik poczty, miał na sobie pierwszorzędny garnitur granatowy... pewnie od jakiegoś krawca z powiatowego miasta...

— To?... to będzie... to jest... o! już mam... To jest do Goczała. Wskazał coś palcem na kopercie. Głowy ich zbliżyły się. Listonosz dosłyszał ciche szepty i wyczuł niespokojne spojrzenia, rzucane w jego stronę. Począł z wielką gorliwością przekładać listy na drugi stół. Zapukano w okienko. Pani Lena podniosła szybkę. W otworze zjawiła się wąsata twarz komendanta policji.

— Jest co dla mnie? zapytał. Może jakiś liścik.

— Zaraz zobaczę... panie Kazimierzu, proszę zobaczyć, czy niema tam czego dla pana Korzenia?

— Pan Korzeń, pan Korzeń... mruczał listonosz, przerzucając koperty Jest!... wykrzyknął. Jeden list.

— Nic więcej? zdziwił się policjant... Kazimierz mruknął przecząco.

— Dowidzenia.

— Moje uszanowanie.

— Okienko opadło. Trzasnęły drzwi.

— Pan Korzeń jest dzisiaj zły... zauważyła panna Lena.

— Pewnie mu się znowu nie powiodło.

Na podwórku rąbał ktoś drzewo, słońce wpadało przez okno i kładło się złotemi plamami na stos listów.

— Panie W., odezwał się po chwili Kazimierz... Ja już muszę iść.

Jedenasta wybiła.

— Niech pan idzie... Wszystko pan wziął? — dopytywał się troskliwie, drżąc z niecierpliwości.

— Zdaje się, że wszystko. Dowidzenia.

Łuk bramy obejmował część rynku zalanego słońcem i parę domków z ogromnemi podcieniami. Stanął na progu, rozejrzał się wkoło i westchnąwszy, ruszył uliczką w dół, koło więzienia, a potem koło willi profesora Dziubały. Znał swoją dro-

gę doskonale, pamiętał każdy kamień i każdą nierówność drogi. Znał wszystkie drzwi, odrapane, lakierowane, gładkie, ozdobne... Znał wszystkie twarze... wesołe, smutne, chore, zgryźliwe. Wiedział, że sam był małym, niepozornym człowieczkiem, ubranym w spłowiały mundur pocztiarski, że golił się tylko raz na tydzień w sobotę wieczór, ale był dumny, że w torbie swojej nosi codzień i radosne i smutne wieści, gazety, depesze i przekazy pieniężne. Jeśli były do kogoś pieniądze, szedł wtedy raźno i zdaleka otwierał ogromną torbę — gdy zaś smutne, samotne kartki, oddawał je ze zdawkowym uśmiechem i odchodził czemprędzej. Czuł się wtedy niejako winnym za bole, rozpacze i łzy. Był człowiekiem oczekiwanym codziennie przez całe miasteczko — i przez pana burmistrza, pana sekretarza, przez pana dyrektora i profesorów, przez rzeźnika, aptekarza, rejenta i innych.

Pan Kazimierz był człowiekiem małym, suchym, bardzo zbiedzonym. Twarz koścista obciągnięta była żółtą i pomarszczoną skórą. Z opadniętych ramion, spływała zaduża nieco bluza. Buty pamiętały bardzo odległe czasy, pokryte były łatami i najrozmaitszemi cerowaniami. Ponadto, pan Kazimierz miał bardzo rozwiniętą gruźlicę. Nie wiedział jednak o tem i wciąż narzekał przed ludźmi na okropny polski klimat. Codziennie dwa razy zjawiał się na stacji z workiem listów i czekał na pociąg, do którego miał ów worek wrzucić, aby wzamian otrzymać inny. Drogę na kolej znał doskonale, ale zawsze interesował się nią. Był zapalonym miłośnikiem przyrody — potrafił czasem przeleżeć kilka godzin w cienistym lesie, nic nie robiąc, jeno wpatrując się w błękit i słuchając ćwiergotu ptaków. Ale zdarzało się to tylko na wiosnę lub w lecie i to raz na tydzień.

Pan Kazimierz w sobotę wieczór, po zamknięciu poczty, szedł do domu i czemprędzej przebierał się w strój cywilny, a mundur wieszał pieczołowicie na kołku w szafie.

Potem już z domu nie wychodził. Oparwszy się rękami o stół potrafił siedzieć bardzo długo. Żona tymczasem warzyła kolację, a dzieciska zachowywały się cicho „bo tato odpoczywa”. Potem jedli kolację, — przed którą odmawiali wspólną modlitwę. Jedzenie nakładali na talerze, jak przystało na „miastowych”, ale pochlipywali i cmokali wargami jak chłopi. Właściwie chłopami byli. Żona pana Kazimierza była córką gospodarza z odległej jakiejś wsi, a on sam był synem chłopa nieco ogładzonego i wykształconego przez pobyt w Ameryce. Ale oboje uważali się za ludzi „miastowych”.

Listonosz był zresztą dobrym kompanem do kart i do piwa... bez niego nie obeszłyby się niedzielne zebrania w kiosku pana Włodzimierza. Zbierali się tam po nieszporach i przeglądali gazety, pogwarzając po przyjacielsku. Pan Włodzimierz był to człowiek „wcale gładki, ale głupi i szlus” — według określenia większości mieszkańców miasteczka. Popijali monopolówkę i znów czytali, Czasem ktoś wszedł po znaczki pocztowe lub papier listowy i szybko obsłużony wychodził, zostawiając jeno za sobą strugę świeżego powietrza. Wtedy rozpoczynali przerwaną rozmowę: „na czem myśmy to stanęli” ?...

Szedł teraz wzdłuż rynku i oddawał „pocztę” ludziom czekającym na nią na progach swych domów. Tak było zawsze, bez zmiany... i tak będzie dopóki nie przyjdzie nowy listonosz, który będzie musiał się zżyć z miasteczkiem. Pan Kazimierz czuł się żywą cząstką wszystkich

mieszkańców, nie wyobrażał sobie jakby to było, gdyby pewnego dnia zachorował i nie poszedł na swą zwykłą wędrówkę.

Coby „oni" robili pozbawieni codziennej strawy listów i gazet... Ano — musieliby pójść sami na pocztę i stanąwszy w ogonku, czekać, ażby się nad nimi zlitował pan Władysław lub panna Lena.

Westchnął głęboko, zakrztusił się suchym kaszlem i podreptał do ostatniej „dzielnicy" miasteczka. Na plebanję należało zanieść dwie gazety — dla proboszcza i wikarego — a potem trzeba było skręcić w bok do domu pana dyrektora i też oddać gazetę, oraz kilka imieninowych kartek. Bo to jutro imieniny dyrektora... A jutro też jest niedziela... Znów jeden tydzień „odwalony". Nie wiedział czy się uśmiechnąć smutno, czy wesoło. Bo cóż w tem, że przeszedł jeden tydzień... Czy zbliżał się jakiś cel? Chyba śmierć. Ale przecież do śmierci daleko... Zakaszlał i splunał, „cholera... mruknął raz upał, aż łeb boli to znowu chłodno"... W rzeczywistości upał był wielki. Błękit nieco zmatowiał, słońce nie było kulą, lecz jakąś mgławicą, napełniającą wszystko dokoła nieznośnym żarem. Było wszędzie. Nie chronił przed niem żaden cień, żadne drzewo. Listonosz zdjął czapkę i na chwileczkę przystanął. Torbę miał już pustą. W kościele dzwoniono na południe. Postanowił wstąpić na trzy zdrowaśki. Miał wrażenie, że ktoś przyłożył mu do czoła chłodną rękę. Odetchnął. Przez witraże sączyło się światło kolorowe i malowało posadzkę. Czuł zmcęzenie w całem ciele. Siedział, w ławce i machinalnie klepał pacierze. Był tak zmęczony, że nie mógł myśleć. Dawał ze siebie to co mógł. Gdzieś, w kaplicy baba zamiatała posadzkę. Stuknięcia miotły o kamienie niosły się po dużej nawie wyolbrzymione i wylatywały na pole, wtapiając się w lepkie ciasto powietrza. Pan Kazimierz wzdrygnął się. Było mu zimno. Przeżegnał się i wyszedł z kościoła wprost w oślepiającą powódź światła. Ogarnęło go ciepło, rozkoszne po chłodzie kościoła. Powietrze pachniało nagrzaną w słońcu koniczyną. Lipy brzęczały rojami pszczół.

Stanisław Pagaczewski.

Roztargniony Nikodemek

Profesor muzyki, Nikodem Harmonijka wychodził majestatycznie z instytutu muzycznego. Schody wygrały pod uduchowionnmi obcasami jego butów gamę chromatyczną i po tej uwerturze znalazł się czcigodny muzykolog na ulicy. Ponieważ deszczyk pokapywał zlekka, trochę staccato, więc pan profesor podniósł laskę i nakryty jej cieniem wędrował przez gwarne ulice. Wszystko mu grało! Klaksony samochodowe, symfonja dzwonków tramwajowych, a nawet wydawał mu się arją śpiewaczki koloraturowej głos przekupki, grubej jak klucz basowy, która darła się za nim wniebogłosy: „A bodajeś... stary grzmocie! Łazi to, ale na czyichś nogach, a nie na swoich..." Ach, myślałem że to pedał fortepianu — mruknął pan Nikodem. No, ale nic się takiego nie stało". Wkrótce zadzwonił do drzwi swego mieszkania. Otworzyła mu żona. Powiesił kapelusz na jej głowie, poczem zdjął buty, wrzucił je do kosza na śmieci i sprężystym krokiem udał się do jadalni. Podczas obiadu nie zdarzyło się nic szczególnego. Profesor rzucił tylko

mydło do talerza ze zupą i usiłował przekroić próżną wazę. Tymczasem jego żona zapowiedziała co następuje, odzywając się w te słowa: „Kochany Nikodemku! Popołudniu przyjdą do mnie dwie przyjaciółki, a ponieważ nie mam dużo czasu, bo muszę zrobić gruntowne pranie, wię proszę cię, idź z niemi na spacer. Tylko nie zrób jakiegoś głustwa"! O godzinie piątej Nikodemek wyszedł w towarzystwie dwóch wytwornych dam na spacerek. Okazał się wybornym causeur'em bawił je doskonale, nie popełnił żadnych faux pas, pominąwszy to, że chciał siąść na pace ze śmieciami, zamiast na ławce, Pozatem było wszystko w największym porządku. Gdy tak właśnie opowiadał damom, słuchającym z wielkim przejęciem o nutach z czasów epoki kamiennej, rzekł nagle: No, a teraz wracajmy do rzeczy! Więc widać koło mnie dwa okazy pudeł, jednak różniących się dość od siebie. Jedno, to pudło stare, odpoliturowane i wygładzone, dlatego jego głos jest wcale znośny. Liczy ono sobie parę dobrych stuleci i dlatego poddaje się je licznym zabiegom odnawiającym. To zaś drugie pudło jest również stare, tylko mniej politurowane i brakuje mu jedna klepka, dlatego nie odbrzmiewa dobrze. Otóż...

Na drugi dzień w gazecie znalazła się następująca notatka: „Wczoraj znaleziono na plantach znanego profesora muzyki, Nikodema Harmonijkę, poranionego i leżącego bez przytomności. Odniósł on parę ran ciętych, zadanych nożyczkami od manicure, które znaleziono opodal. Jako sprawczynie przytrzymano dwie panie należące do high life'u naszego miasta. Sprawa zaczyna zdaje się zataczać szerokie kręgi. Profesor Nikodem Harmonijka oprzytomniawszy, powiódł wzrokiem po wszystkich otaczających go znajomych i krzyknął: A mówiła mi żona, żebym głupstwa nie zrobił. A ja powtarzałem sobie mój jutrzejszy wykład o rezonansie skrzypiec...! — Organa policji śledczej przystąpiły do wyświetlenia tej ciekawej i frapującej wszystkich zagadki".

J. R.

Fatalne przedstawienie

MOTTO:
Kino to fajny szpas, jak
gdybyś wlazł w ciemny las,

Będąc u ciotki w Warszawie poszedłem do kina. Ciotka kobiecisko poczciwe oprócz dwóch złotych dała mi paczkę cukierków mentolowomiętowych z eukaliptusem. Pocałowałem ciotkę w garść i poszedłem. Co grali tego nie wiem, (coś strasznie dowcipnego), przedstawienie to jednak utkwiło mi w pamięci bardzo głęboko.

A zaczęło się od tego:

Jakaś pani siedząca za mną pękała wprost ze śmiechu, dając więc folgę radości tłukła bezceremonjalnie butem w nogę mego krzesła. Robiła to w sposób systematyczny i tak zdecydowany, że postanowiłem z tem skończyć.

— Czy pani długo jeszcze zamierza telepać moim krzesłem — zapytałem jak się tylko dało najdelikatniej — toż to może człowieka doprowadzić do mdłości — dodałem z lekkim wyrzutem w głosie.

— Po pierwsze — odpowiedziała mi owa pani — to krzesło tak samo jest pana jak i moje. Po drugie mogę robić to co mnie się podoba. Wolno komu proszę pana jak w domu — zakończyła dama.

— Racja — odpowiedziałem ziry-

towany bezczelnością histerycznej damy — całkiem słusznie, wolno komu, ale w domu, nie zaś tu w kinie łaskawa pani, takie znęcanie się nad człowiekiem jest rzeczą paskudną — zakończyłem, odwracając się znowu twarzą do ekranu.

— Ach, słabo mi! Znęcanie się nad człowiekiem! Boże słabo mi! — jęczała owa pani rzucając się na krześle jak mucha w ukropie.

— Co? słabo pani? zapytałem troskliwie — może cukiereczka mentolowo-miętowego z eukaliptusem, proszę pani, to bardzo dobrze robi, bardzo dobrze.

— Ja już panu dam tego mentolu; poczekaj pan — syknęła i z większą energją waliła w mój stołek. Miałem wrażenie, że jadę pociągiem lub wozem chłopskim po kocich łebkach.

Z taką histeryczką nie było interesu. Poszedłem o parę rzędów bliżej ekranu, gdyż zainteresował mnie człowiek z głową zadartą do góry. Był to zapewne szewc, gdyż miał nos perkaty. Interesowało go to widać bardzo, gdyż spał jak suseł. Wciągając powietrze nosem, charczał jak zarzynany byczek, wydechał zaś ustami, co raczej do gwizdania było podobne, niż do wydechania.

Człowiek imitujący syfon nie przypadł mi do gustu. Jak długo żyję, nie widziałem aby ktoś tak sypiał. Nagle usłyszałem gruby bas za sobą:

Jeżeli pan sądzisz, że jesteś przeźroczystym, toś głupi, przyjacielu, jak mój ślubny lakierek. Jakiś raptowny człowiek, zanim zorjentować się zdołałem, złapał połę mej bluzki i szarpnął mną do tyłu. Tracąc równowagę upadłem na fotel. Poderwałem się jak człowiek ugryziony przez muchę tse-tse, gdyż usłyszałem ten sam bas, który mą mądrość mierzył na miarę ślubnego lakierka.

— To niesłychane! to bezczelność! Jak można! — Faktycznie to rzecz była okropna, gdyż upadłem na kolana jakiegoś łysego grubaska za okularami. Nie przepraszając go nawet, powróciłem na swoje stare miejsce, co wywołało u owej pani niezadowolenie, ujawniające się w syku, podobnym do mlaskania kobry:

— Już pan wrócił? Szkoda.-

Wytrzymałem ten atak, nie puszczając pary z ust. Teraz przyszło mi na myśl, że mam w kieszeni cukierki, które należałoby skonfiskować na rzecz mego żołądka. Cukierki te były tak zlepione wraz z papierową torebką, że o oddzieleniu ich nie było mowy.

Cały więc pakunek włożyłem do ust i zupełnie przypadkowo zakneblowałem sam siebie. Papier dławił mnie w straszny sposób, a cukierków z ust wyrzucić nie mogłem. Można było mnie w tym momencie rżnąć, krajać, co kto chciał, nie mogłem nic mówić, ani krzyczeć! W końcu rozlutowałem te cukierki i ze zgrozą odczułem, jakie świństwo dała mi ciotka.

Chłodziło to w gębę jak lód — ale piekło przytem niczem esencja octowa. Cukierkiem takim można było posługiwać się jak klajstrem stolarskim, o czem zdołem się zaraz przekonać. Wyplułem więc kilka takich sztuk, gdyż obrzydzenie mnie brało. Skutek był jednak fatalny. O nośności mych pocisków przekonałem się zaraz, gdy siedzący o parę rzędów dalej młodzieniec, chudy jak parasol, złapał się raptownie za kark. Nie miałem złudzenia, że to mój cukierek miętowy o własnościach kleju spoczął na karku chudego człeka. Długo się męczył z oderwaniem nieoczekiwanego plastra, a w końcu za-

wezwał siedzącego obok pana, który wydobywszy scyzoryk zeskrobał opatrznościowy cukierek z karku nieszczęśliwca.

Nie omieszkali przytem oglądnąć się w mą stronę, a jeden z nich szukał coś koło siebie (laski zapewne).

Źle — pomyślałem. Trzeba drapnąć stąd, bo gdy się przedstawienie skończy, oni gotowi mnie zakatrupić jak prosię na Wielkanocne Święta.

W drugim rzędzie ode mnie siedział jakiś blondyn w mym wieku. Poszedłem z nim konferować w sprawie zamiany miejsc, co poszło dość łatwo.

Ja mu stawiałem korzystne warunki więc zgodził się. Zamieniliśmy miejsca ze sobą.

Kiedy zaś zobaczyłem jak młodzieniec, którego zalepiłem cukierkiem, podnosi się ze swego miejsca, uciekłem z kina nie czekając na koniec.

Uszedłem zaledwie kilka kroków gdy usłyszałem czyjeś stąpanie za sobą. Był to ów blondyn z którym zamieniłem miejsca w kinie.

— Co za dziwni ludzie — zawołał — jakiś młody człowiek z wyglądem skazańca groził mi, jak tylko usiadłem, laską, pokazując kawałek kleju. Inny tłomaczył, że w kinie złamał sobie scyzoryk na karku swego przyjaciela. Na koniec przyszedł gruby pan za okularami — ciągnął dalej — pokazując lakierki swoje nazwał mnie świnią poprostu. A w ciągu zaś przedstawienia jakaś pani gadała, że się za dużo kręcę i waliła w mój stołek! Co jednak zabawniejsze, że po jakimś czasie zaczęli mnie wszyscy przepraszać gdy ta pani powiedziała, że „to nie ten“. Dziwni ludzie nieprawda? — zapytał odchodząc mój przygodny znajomy.

Nie tyle dziwni — pomyślałem — ile ja ci piwa nawarzyłem a tyś musiał wypić — nieszczęsna ofiaro pomyłki.

Spoglądnąłem na kino raz jeszcze i zadrżałem. Przy wyjściu stał z jednej strony chudy człowiek z laską rozmawiając z histeryczną damą — po drugiej zaś stronie gruby jegomość z właścicielem złamanego noża. Na ten widok gęsią skórę poczułem na całem ciele. Nie widzieli mnie jednak, więc bezpiecznie drapnąłem.

— — — — — — — — —

Gdyby ktoś z czytających to moje piśmidło był kiedyś w Warszawie a przechodził koło kina „Adria” i zobaczył wymienionych ludzi czyhających na moją osobę pod bramą wejściową, niech im poradzi, aby poszli do domu, gdyż ja już z tego kina nie wyjdę — a drugi raz nie mam zamiaru wchodzić.

— — — — — — — — —

Gdyby nie to, że w kinie jest tak ciemno, moja ucieczka byłaby odkryta a ja...

Nie wiem coby ze mną było. Niema co, kino to jest fajny szpas tak jakbyś wlazł w ciemny las.

Hewit Oldin.

Pracujemy

Wchodzę do sali VIIIa. Gwar, ruch, wesołość. Ktoś stuka młotkiem, ktoś wlecze po podłodze całe zwoje gumy. Uchylam głowy — obok mnie przeleciał model płatowcą i usiadł na szafie. Czuć charakteryczny swąd przypalonego bambusu oraz lampek spirytusowych.

Na stołach stoją piękne modele, prężąc się do lotu. Ktoś dodaje ca-

łe kolumy liczb na tablicy i mruczy zafrasowany... 2+2 — 4 (k—a+q) = R + y — opóz...

Podchodzę do Opiekuna Koła, p. prof. W. Kowalczyka.

— Pan profesor pozwoli — maleńki wywiadzik.

— Ależ z wielką chęcią — służę wszelkiemi wiadomościami.

Wyjmuję notes i zapisuję.

„Koło L. O. P. P. w naszym zakładzie, zostało utworzone w roku 1924 — a więc na drugi rok obchodzić będziemy jego dziesięciolecie. Koło pozostawało do roku 1930 pod gorliwem kierownictwem p. prof. M. Kupczyńskiego. Sekcja modelarska — ten benjaminek koła — zdobyła swemi pracami ogólny rozgłos. Oto otrzymaliśmy na własność srebrny puhar — oraz dzierżyliśmy przez dwa lata z rzędu inny.

— Niestety dostał się do rąk gimn. VIII-ego wtrącam.

— Tak — ale nie tracimy nadziei. Fortuna kołem się toczy. Ale dostaliśmy pierwsze miejsce w dziale „za wykonanie“.

Jest to zasługa Marjana Sularza. Jego model kadłubowy wzbudzał powszechne uznanie.

— A kto opiekuje się sekcją z ramienia L. O. P. P.?

— Pan instruktor Ludwik Piątek. Nasze koło jest jakby jedną cegiełką tej wielkiej budowli L. O. P. P. która wznosi się na fundamentach drobnych, groszowych składek. Możemy być dumni z tej roli.

Czyż widział kto dom bez fundamentów i murów a z samym tylko dachem? Ci — którzy tu — w tym zakładzie uczęszczają na zebrania koła — ci, którzy tu konstruują ciekawe i b. pomysłowe modele — ci wszyscy po opuszczeniu szkolnych murów nie poprzestaną na tem, lecz będą nadal pracować czy to na polu lotnictwa pasażerskiego, wojskowego, turystycznego, czy też na polu inżynierji lotniczej czy też propagandy — a wszyscy będą uświadomieni i obznajmieni z lotnictwem oraz zagadnieniami obrony chemicznej.

Praca w naszej organizacji — wydaje b. piękne wyniki. Rozpala bowiem we wielu umysłach zamiłowanie do lotnictwa — tego bezsprzecznie najpiękniejszego rodzaju broni i najpiękniejszego sportu.

— A jak przedstawia się frekwencja na zebraniach...?

— Doskonale. Przenosi 80%. Nic dziwnego — młodzież zaczyna rozumieć, że wszystko to robi się dla jej dobra.

Każdy członek płaci składkę miesięczną w wysokości 20 groszy. Z tego 10 groszy idzie do wojewódzkiego komitetu L. O. P. P., a 10 na potrzeby koła.

— Bardzo panu profesorowi dziękuję za wyjaśnienia. Czy wolno zamieścić to wszystko w „Zewie“ aby ogół uczniów dowiedział się o działalności i celach naszego Lopu?

— Ależ naturalnie — niemam nic przeciwko temu.

Uciekam szybko gdyż pewien model po wykonaniu „beczki“ „rozparcelował“ się na mej osobie.

(s. p.)

KRONIKA

Życie Samorząd. Samorząd naszego Gimnazjum stał się obecnie ogniskiem pracy i życia towarzyskiego uczniów. Z dna dzień powiększa się zakres jego działania, wciąż przybywają nowe placówki i centra nauki czy rozrywek. Dnia V. b. r. nastąpiło uroczyste otwarcie naszej Świetlicy Szkolnej, która powstała dzięki poparciu p. Dyr. M. Chojny,

aby stać się miejscem godziwej rozrywki. Stanowisko Gospodarza świetlicy zajął znany z energji kol. Zygmunt Walenta.

W celu uzyskania ułomych funduszów urządził Samorząd wespół z IV Drużyną Harcerską zabawę. Zabawa wypadła nadspodziewanie dobrze, dając pełne zadowolenie uczestnikom i napełniając kasę Samorządu.

Poranek ku czci H. Sienkiewicza. Dnia 27 br. urządził nasz zakład poranek w teatrze „Bagatela", ku czci swego patrona — Henryka Sienkiewicza. ᵛ stępne przemówienie wygłosił p. prof. Krobicki, podkreślając znaczenie H. Sienkiewicza dla całego narodu; przemówie zakończyło odegranie hymnu narodowego przez orkiestrę dętą. Po „Marszu Weselnym" Mendelsona odtworzonym przez orkięstrę symfoniczną zadeklamował kol. Starachowicz wyjątek z „Ogniem i Mieczem", modlitwa ks. Jeremiego Wiśniowieckiego. Zkoleji wystąpił chór, który pod batutą p. prof. Miksteina odśpiewał dwie pieśni, zysk je poklask widowni Na zakończenie pierwszej części złożyły się gra na skrzypcach kol. Własnosolskiego i pełna uczucia autorecytacja kol Ziemby.

Drugą część stanowił utwór sceniczny H. Sienkiewicza p. t. „Zagłoba swatem", odegrany przez uczniów naszego gimnazjum, z współudziałem uczennic seminarjum im. Reja. Sztuka ta przenosi nas do niespokojnych czasów XVII w. i kresowego, szlacheckiego dworu. Pełna werwy i temperamentu postać rycerza Zaremby dał kol. Siemieniuch, grający bardzo naturalnie i z wielkim tupetem. Dobrze czuł się kol. Kowalski w roli Zagłoby, którego fortelem dochodzi do skutku małżeństwo Zaremby z Zosią. Rolę tej ostatniej wzięła na siebie p. J Streitówna, grała bardzo dobrze odtwarzając sylwetkę zakochanej panny wiernie i z wdziękiem. Sekundowały jej Skrabaczówna i Wesołowska.

Wycieczka fizyczna. Dnia 31. V. uczniowie klas VIIa i VIIb. zwiedzili pod kierownictwem p. prof. Fijoła i Turowicza fabrykę lokomotyw w Chrzanowie. Świetnie urządzona fabryka dała nami obraz wysokiego poziomu techniki w Polsce, otwierając przed nam tajemnicę powstania lokomotywy od obróbki surowca aż do ostatnich robó lakierniczych. Najbardziej interesującą częścią fabryki była hala obrabiarek. Te preczyjne, na ułamki milimetra dokładnie działające maszyny, musiały wzbudzić podziw każdego. Pełni wrażeń wracaliśmy do Krakowa, by tu teoretycznie przejść jeszcze raz to, coćmy na wycieczce widzieli w rzeczywistości.

Tydzień L O. P. P. Młodzież naszego zakładu wzięła udział w konkursie model latających, dając tem dowód głębokiego zrozumienia głębokiej idei L. O. P. P. Sprawnie działające nasze Koło L. O. P. P. wzięło czynny udział w uroczystościach Tygodnia lotniczego. Głębokie wrażenie wywarł film propagandowy, stawiający nam przed oczyma gwałt wojny lotniczo-gazowej. Na Zakończenie Tygodnia zwiedziliśmy przeciwlotniczo gazową w Parku Jordana nabywając świadomoęci, które z pamięci niedalekiej przyszłości zastosować będziemy musieli broniąc własnego życia.

Nasza orkiestra. Prowadzona i wspierana silną ręką p. prof. Kupczyńskiego nasza orkiestra wzięła udział w uroczystościach Tygodnia Lotniczego i w Święcie Zuchów, które odbyło się dnia 24. maja br. w murach Podwawelskiego Grodu.

Kolonja i obozy. P. Dyr. Miecz. Chojna tego roku specjalną uwagę zwrócił na akcję obozowniczą, uznając wysokie wartości tejże. I tak na obóz P. W. jedzie 20 uczniów naszego Gimnazjum. Do Poręby Wielkiej wysyła Komitet Rodzicielski 26 uczniów IV Drużyna Harcerska subwencjonowana przez Komitet Rodzicielski wyjeżdża w składzie 20 harcerzy na obóz do Hallerowa na polskie wybrzeże. Koledzy Zimnal Zbigniew z kl. VIa i Lempart Alojzy z kl. VIb wyjeżdżają na obóz Straży Przedniej do Gdyni na czas od 19. VI do 16. VII b. r.

Wszystkim Czytelnikom życzy Red. i Adm. „ZEWU" przyjemnego spędzenia wakacyj letnich. Red. i Administracja.

Wydawnictwo Samorządu ucz. IV. Gimn. Red. „Komitet Redakcyjny" pod kier. red. odp. Dr. A. Zamirowskiego
Drukarnia Literacka Kraków XXII. Plac Zgody 4. Tel. 146-13. — Pod zarządem Romana Beera w Krakowie.